

**klasa II ULO i II LO**  
**Praca kontrolna – semestr III**

***Życie i śmierć – dwa aspekty ludzkiej egzystencji. Analizując wybrane fragmenty Chłopów W. ST. Reymonta, zwróć uwagę na rolę scenerii w podkreśleniu kontrastu opisanych zdarzeń.***

Doprowadzili goście do weselnego domu, przegrali im na godne wejście i zawrócili do pana młodego.

— Gospodarzu, a to muzyka z druźbami wali! — krzyknął Witek w okna i poleciał do Kuby.

Rzęsisto zagrali na ganku, a Boryna w ten mig wyszedł, drzwi narozcież wywarł, witał się, a do środka zapraszał, ale wójt z Szymonem ujęli go pod boki i już prosto do Jagny powiedli, bo czas było do kościoła.

Szedł ostro i aż dziw, tak młodo wyglądał; wystrzyżony, do czysta wygolony, przystrojony weselnie — urodny był, jak mało który, a przez to, że mocno w sobie podufały i rozrosły, to i posturę już miał zdała widną i powagę w twarzy niemałą. Godnie go wprowadzili do Dominikowej; naród się rozstąpił, a oni go wiedli do izby szumno, z graniem i przyśpiewkami.

Ale Jagusi nie było, przystrajały ją jeszcze kobiety w komorze mocno zawartej i pilnie strzeżonej, bo parobcy drzwi pchali, to w deskach szparutki czynili i przekomarzali się z druchnami, że ino pisk, śmiechy i babie wrzaski odpowiadały.

A matka z synami przyjmowała gości, częstowała gorzalką, usadzała co starsze na ławach i na wszystko oko miała, bo narodu się zwaliło, że i trudno przejść przez izbę, po sieniach stali, w opłotkach nawet. Nie bele jakie to goście, nie. Gospodarze sami, rodowi i co bogatsze, a wszystko krewniacy, powinowaci i kumy Borynów i Paczesi, a drudzy zasie znajomkowie, to i z dalszych wsiów zjechali.

Dopiero w jakie dwa pacierze otwarli drzwi komory, i organiścina z młynarzową wywiedły Jaguś na izbę, a druhny otoczyły ją wiankiem, a tak strojne i urodne wszystkie, że kwiaty to były nie kwiaty, a ona między nimi najśmielejsza i kieby ta róża najśliczniejsza stojała w pośrodku, a cała w białościach, w aksomitach, w piórach, we wstęgach, w srebrze a złocie — że się widziała niby ten obraz, co go naszają po procesjach, aż przycichło zagnała, tak poniemieli i dziwowali się ludzie. Hej! jak mazury mazurami nie było śliczniejszej!

Wnet druźbowie zrobili rumor i gruchnęli z całych piersi:

Rozgłaszaj, skrzypku, rozgłaszaj!

A ty, Jaguś, ojca, matkę przepraszaaj —

Rozgłaszaj, flecte, rozgłaszaj!

A ty, Jaguś, siostry, braci przepraszaaj!...

Boryna wystąpił, ujął ją za rękę i przyklękneli, a matka obrazem ich przeżegnała i jęła błogosławić i wodą święconą kropić, aż Jaguś z płaczem padła do nóg macierzy, a potem i drugich podejmowała, przepraszała i żegnała się ze wszystkimi. Brały ją kobiety w ramiona, obejmowały i podawały sobie, aż się popłakali społem, a Józia najrzewliwiej zawodziła, bo się jej matula nieboszczka przypomniała. Wysypali się przed dom, ustawili w porządku należyтым i ruszyli pieszo, bo do kościoła było ze staje. Muzyka szła przodem i rznąła ze wszystkich sił.

A potem Jagnę wiedli druźbowie—szła bujno, uśmiechnięta przez łzy, co jej jeszcze u rżęs wisały, weselna niby ten kierz kwietny i kiej słońce ciągnąca wszystkich oczy; włosy miała zaplecione nad czołem, w nich koronę wysoką, ze złotych szychów, z pawich oczek i gałązek rozmarynu, a od niej na plecy spływały długie wstążki we wszystkich kolorach i leciały za nią i furkotały kieby ta tęcza. Za nią druhny prowadziły Macieja. Jako ten dąb rozrosły następuje w boru po śmigłej sośnie, tak on następował po Jagusi, w biodrach się ino kołysał, a po bokach drogi rozglądał, bo mu się zdało, że Antka w ciźbie uwiidział. A za nimi dopiero szła Dominikowa ze swatami, kowalowie, Józia, młynarzowie, organiścina i co przedniejsi. Na ostatek zaś, całą drogą waliła wieś cała.

Słońce już zachodziło, wisało nad lasami czerwone, ogromne i zalewało całą drogę, staw i domy krwawym brzaskiem, a oni szli w tych łunach wolno, że aż się w oczach mieniło od tych wstążek, piór pawich, kwiatów, czerwonych portek, pomarańczowych wełniaków, chustek a druhny raz wraz zawodziły cieniuśkami głosami:

A jadą, jadą, wozy kołaczą — A moja Jaguś, po tobie płaczą... Hej!

A da śpiewają, śpiewają sobie — A lia na smutek, Jagusiu, tobie... Hej! —

Dominikowa całą drogę popłakiwała i jak w obraz wpatrywała się w córkę, że nic nie słyszała, co do niej zagadywali.

W kościele już Jambroży zapalił świece na ołtarzu.

Ogarnęli się ino w kruchcie, uporządkowali w pary i ruszyli przed ołtarz, bo i ksiądz już z zakrystji wychodził.

Prędko się odbył ślub, bo ksiądz się do chorego śpieszył. A gdy wychodzili z kościoła, organista jął na organach wycinać mazury, a obertasy i kujawiaki takie, aż same nogi drygały, a niektóren tylko co nie huknął piosenką, dobrze iż się w czas pomiarkował!

Wracali już bez nijakiego porządku, całą drogą, jak komu było do upodoby, a rozgłośnie, bo družbowie z druhenkami zawodzili, jakoby ich kto ze skóry obłupiał.

Dominikowa rychlej pobiegła, a gdy nadciągnęli — już ona państwa młodych na progu witała obrazem i tym świętym chlebem i solą, a potem, nuż się ze wszystkimi znova witać, a obłupiać i do izby zapraszać!

Muzyka rznęła w sieniach, więc co który próg przestąpił, chwycił wpół pierwszą z brzega kobietę i puszczał się posuwistym krokiem „Chodzonego” — a już tam, niby ten wąż farbami migotliwy, toczyły się dokoła izby pary, gięły się, okręzały, zawracały z powagą, przytupywały godnie, kołysały się przystojnie i szły, płynęły, wiły się, a para za parą (...).

Już na samem świtanu, Witek, umęczony zabawą i wyganiany przez Jagustynkę, pobiegł do chałupy. W Borynowej izbie tliło się jeszcze światełko maleńkie, jako ten robaczek świętojański, aż Witek zajrzał przez okno; stary Roch siedział przy stole i z książki pośpiewywał pobożne pieśnię.

A ze stajni obok położonej wołał Kuba słabym, schorzałym głosem, wołał długo.

— Wody! Tak me rozbiera gorącość... wody! Takim chory, że ledwie zipię... Mój Jezu, myślałech, że jaką kosteczkę przy weselu ogryzę i podjem se choć raz dosytu, a tu leż, zdychaj i nasłuchuj, jak się drugie zabawiają.

Ale Witek zaspany, ogłuszony muzyką nie słyszał i poszedł spać, choć Łapa, poznawszy głos, jął zajądla szczekać i targać parobka za kapotę,

Kubę gorączka mroczyła coraz bardziej, więc jakby na odegnanie zaczął szeptać pacierz i Panu Jezusowemu miłosierdziu oddawał się gorąco na wolę i niewolę, ale zapominał słów, sen nań spadał raz po raz, a ciąg szeptów, nabrzmiałych prośbą i łzami, rwał się i rozsypywał niby czerwone paciorki, że chciał je zgarniać, tak widno toczyły się po kozuchu; zapominał jednak o wszystkim, zasypiał... (...)

Już pod sam wieczór do stajni przyszedł Jambroży, nie wytrzeźwiony docna, bo się jeszcze potaczał i mówił tak prędko, że trudno było rozebrać.

— A to cię uszlachtowali! Pies ci łydkę wytarł, czy co? — wykrzyknął zdumiony, bo łydka była poszarpana, zaropiała, noga spuchła jak konew.

— To... ino nie powiadajcie nikomu... borowy me postrzelił... ino...

— Prawda... śruciny siedzą pod skórą kiej mak... z daleka do cię wygarnął? Ho, hol kulas widzi mi się na nic juz... kosteczki chroboczą ano... Czemuś to zaraz mnie nie wołał?

— Bojałem się... jakby się dowiedziały, na zajączka wyszedłem... ustrzeliłem... i już na polu byłem... a ten kiej nie rypnie do mnie...

— Powiadał kiedyś w karczmie borowy, że ktoś im szkody czyni...

— Hale... szkody... niby to zające należą do kogo... ścierwa... zasadził się na mnie... już na polu byłem, a ten z obu lut strzelił... żeby cię piekielniku... ino nic nie mówcie... do sąduby pozwały... strażniki... i zarnoby i fuzję wzieny... a to nie moja... Myślałech, że samo przejdzie... pomóżcie, bo tak rwie, tak boli...

Jamrozy obejrzał raz jeszcze nogę i srodze się strapił.

— Za późno, o wiela za późno!

— Poredźcie, poredźcie — jęczał wystraszony.

Już nic nie odrzekł, ino rękawy zakasał, wydobył ostry kozik, nogę ujął krzepko i jął wydłubywać śruciny i ropę wyciskać.

Kuba zrazu ryczał Jak zwierz dorzynany, aż mu zatkał gębę kozuchem, ścichł, bo zemdłał z bólu. Oporządził mu nogę, obłożył jakąś maścią, obwinął w nowe szmaty, dopiero go otrzeźwił.

— Do szpitala musisz iść... — mruknął cicho.

— Do szpitala?... — Nieprzytomny był jeszcze.

— Urznąliby ci nogę, tobyś może i wyzdrowiał.

— Nogę?...

— Juści, już na nic, zepsuta, czernieje cała.

— Urznąliby? — pytał, nie mogąc pojąć.

— W kolanie. Nie bój się, mnie kula urwała przy samym zadzie a żyję.

— To ino urznąć bolejące miejsce i byłbym zdrowym?...

— Jakby kto ręką odjął... ale do szpitala trza ci zaraz iść...

— Nie, bojam się, nie... do szpitala...

— Glupiśl...

— Tam żywcem krają... tam... Oberznijcie wy... co ino zechcecie, zapłacę, oberznijcie... do szpitala nie chcę, wolę tutaj zdychać...

— To i zdechniesz... doktor ino może ci oberznąć. Pójdę zaraz do wójta, żeby ci na jutro dali podwodę i odwieźli do miasta.

— Próżno pójdziecie, bo do szpitala nie pójdę... — powiedział twardo.

— Hale, będą ci się pytali, głupi!

— Urznąć i zaraz wyzdrowieje... — powtarzał Kuba cicho po jego wyjściu.

U Dominikowej robili przenosiny Jagusi do męża.

Nieco przódzi przeprowadzili tęgą krowę i przewieźli skrzynkę, pierzyny i statki różne, jakie w wianie dostawała. Muzyka szła na przedzie i rażno przygrywała, a za nią Jagusię, wystrojoną jeszcze po weselnemu, matka wędła z braćmi i kumami, a dopiero wpodłe, gdzie kto wziął miejsce, walili hurmą weselnicy (...)

W domu Boryny Jagusia zaś cięgiem zapraszała i prawie każdemu z osobna podtykała, czy mięso, czy czego innego zarówno, a niewoliła, by sobie nie żalowali; składnie jej to szło, i tak utratnie każdemu to słowo przypochlebne powiadała, i taką urodnością się wszystkim miłiła, że niejeden z parobków chodził za nią tęskliwemi oczyma, a matka aże rosła z kuntentności, odkładała łyżkę, by się ino patrzeć na nią i cieszyć. I Boryna to widział, bo gdy szła do kucharek, leciał za nią, dopędzał w sieniach, ogarniał mocno i sielnie całował (...).

Wtem do izby wpadł rozgorączkowany Witek, wołając Jamrożego.

— Chodźcie do Kuby, bo zdaje mi się, że umiera.

— Niech zdycha, a nie przeszkadza ludziom jeść. Byłem na odwieczerzy u niego i mówiłem jusze, aby się do szpitala szykował, nogęby mu urznąli i wnetby wyzdrowiał!...

— Powiedzieliście mu o tem! Teraz rozumiem, zdaje mi się, że sam sobie odciął nogę...

— Jezus, Marja! Jak to, sam sobie obciął?...

— Chodźcie prędzej, zobaczycie. Szedłem spać do obory i, ledwiem wlaż na podwórze, Lapa skoczył do mnie, szczeakał, skamlał, za kapotę mnie zębami darł i ciągał, nie mogłem pojąć, czego chce... a on wybiegał naprzód, siadał w progu stajni i skowyczał. Podeszedłem, patrzę, Kuba leży przewieszony przez próg, z głową w stajni! Myślałem zrazu, że chciał wyjść na powietrze i omdlał. Przeniosłem go na wyrko i zapaliłem latarkę, żeby wody poszukać, a on cały we krwi, blady jak ściana, i z nogi krew bucha. Pędzej, żeby nie puścił ostatniej pary... (...)

Weszli do stajni, Jambroży zabrał się ostro do trzeźwienia; Kuba leżał bezwładny, dychał coś niecoś i rzeził przez zwarte zęby, że trzeba było je nożem podwazyć, by mu nieco wody wlać do gardła. (...)

Ale już dusza wychodziła z niego powoli i niesła się we światy, jako ten ptaszek Jezusowy, kołowała jeszcze, jeszcze błędnie, oderwać się nie mogła jeszcze, że przywierała czasami do ziemi świętej, by odpocząć z utrudzenia, utulić swój płacz sierocy we wrzawie ludzkiej; między kochane zachodziła, wśród żywe szła, do bratów wołała żałośnie i u serc prosiła pomocy, aż mocą Jezusową skrzepiona i miosierdziem, niesła się na jakieś pola wiosniane, na te Boże ugory ogromne, nieobjęte, wieczną światłością oprzędzone...